

KIEDY ZE W USŁYSZĘ TWÓJ

Był jeden z tych upajających rosyjskich wieczorów, kiedy ma się wrażenie, że wszystkie straszne stronicie historii ojczyzny zostały już odwrócone, i mamy przed sobą same jasne, bezchmurne, szczęśliwe dni. Właśnie w takich chwilach ludzie poczynają dzieci — bo wszyscy są przekonani, że czeka ich słoneczne szczęście.

Tylko że te dzieci rodzą się nie wiadomo czemu w lutym...

Martwa głowa Isztar leżała (miałem ochotę powiedzieć „zasiadała”, jak gdyby chodziło o wielką ropuchę) na ogromnym złotym półmisku.

Jej nalana twarz w fałdach starczego tłuszczu wyglądała na zmiętą mimo kilku warstw pogrzebowego makijażu. Wydawało się tak chyba dlatego, że charakteryzator Japończyk namalował wokół jej zamkniętych oczu rozpluwające się czarne kleksy, ściekające ciemnymi strumykami na śnieżnobiałe policzki. W Japonii z pewnością wyglądałoby to stylowo i przypominało o świecie duchów. W Rosji budziło skojarzenie ze śmiercią po długim pijaństwie, zakończonym brutalną bijatyką.

Głowa szybowała nad przepaścią Hartlandu.

W rzeczywistości oczywiście nie szybowała — półmisek był umocowany na zamaskowanym kwiatami drągu. Ale wyglądało to wszystko tak, jakby głowa unosiła się nad czarną otchłanią, przyjmując ostatni hołd od tych, którzy zbliżali się lęklonie do jej skraju.

Głowa wyglądała majestatycznie nawet z czarnymi zaciekami na policzkach. Włosy, którymi zmarła za życia wstydlonie zasłaniała swoje kosmetyczne blizny, były teraz zaczesane do góry i upięte w jedną z owych dziwacznych olbrzymich fryzur, które tak lubiła w swoich trzeźwych dniach: nad potylicą lśniła masywna złota harfa i rude pasma były przywiązane do jej strun, jakby martwa Meduza dawała dla skamieniałych widzów swój pożegnalny koncert.

Tak resztą właściwie było.

Tylko że śpiewała nie martwa głowa, ale śpiewak estradowy z zawiązanymi oczami. Stał na samym skraju przepaści obok dwóch asekurujących go ochroniarzy.

Śpiewak wyglądał kreatywnie, ale dziwnie. Miał na sobie brokatową marynarkę nazywaną strasami, tworzącymi tęcze i gwiazdy oraz także szorty. Jego kunsztownie wystylizowana broda mieniła się, opalizowała nieznosnym chemicznym kolorem. Brzuszek pod marynarką był zbyt wydatny, a nogi zbyt cienkie przy takim zwalistym ciele. Można było pomyśleć, że włożył szorty, chcąc budzić swym wyglądem litość, aby go nie zabito na zakończenie imprezy. Ale w tym celu powinien był zgolić brodę.

— Kiedy zew usłyszę twój,
Choćbym był czy tu, czy ówdzie,
Zaraz jutro ruszę w bój,
Żeby Putin nam nie bruździł...¹

Słuchaczy było mało — niewielka grupa na skraju przepaści. Twarze mieli uroczyste i smutne. Odziani byli całkowicie na czarno — prosto, wyszukanie i kosztownie. Zbyt kosztownie jak na to, by jakiś autor kolumny towarzyskiej mógł ich obrazić, wykazując zrozumienie dla tej okoliczności. Kolorystyczną monotonię ich strojów zakłócały tylko drobniotki iskry innej barwy — spinki, rozetka w butonierce czy szpilka w krawacie. Większość była w podeszłym wieku — prócz jednego w pierwszym rzędzie.

Był to młody człowiek około dwudziestki. Chociaż także od stóp do głów w czerni, wyglądem różnił się od pozostałych. Trudno było nawet powiedzieć, co ma na sobie — czy jest to dziwny kombinezon z kapturem, czy ściśle opinające ciało spodnie i kurtka. Przyjrawszy się uważniej, można było dostrzec w jego uchu małeńki brylant. Cerę miał bladą, jakby posmarowaną białym podkładem. A uniesione zelem włosy — być może przez kontrast — wydawały się przesadnie ciemne, jakby je pokryto kruczoczną farbą. Najbardziej przypominał nową modyfikację emo — hipstera, jeszcze zbyt świeżą, by zdążyła sobie zyskać własną nazwę w kulturze. Ale coś w jego oczach budziło dreszcz — i dawało do zrozumienia, że to po prostu kamuflaż.

Krótko mówiąc, jak już pewnie się domyślicie, to byłem ja.

Facet w szortach jeszcze śpiewał i niektóre jego słowa docierały do mojej świadomości poprzez wszystkie mentalne blokady. Jeśli dobrze rozumiałem, pieśń

¹ Wiersze przytoczone w tekście, nieopatrzone przypisami, zostały przełożone przez Ewę Rojewską-

wyrażała protest. Zresztą, nie byłem pewien, czy rozumiem wszystkie niepokojące znaczenia w bijącym z niego promieniu informacyjnym — coś takiego w odniesieniu do ludzkiej sztuki zdarzało mi się coraz częściej.

— No, no, ależ walnęła testament — westchnął stojący obok mnie Marduk Siemionowicz. — Żegnam już trzecią Mysz, a takie coś widzę po raz pierwszy... Dobrze, że przynajmniej oczy im zawiązali...

Enlil Maratowicz zajrzał do programu.

— To chyba ostatni — powiedział. — Ten parodysta już był?

Marduk Siemionowicz kiwnął głową.

— Znaczy, na pewno ostatni. Uf, dzięki ci...

Jak zwykle elegancko nie dokończył. Wampiry tej rangi bardzo przestrzegają poprawności.

Znowu nie wytrzymałem i popatrzyłem tam, gdzie w ogóle nie powinienem patrzeć.

Pod głową Isztar stała tonąca w kwiatach trumna z nagim ciałem młodej dziewczyny.

Było to niezwykle piękne i doskonałe ciało — z jednym tylko wyjątkiem: nie miało głowy. Za to Isztar, wzniesiona wysoko nad przepaścią i trumną, nie miała ciała — i obie razem tworzyły jakąś straszną nienaturalną całość. Ciało dziewczyny wydawało się ofiarą, jakiej zażądała dla siebie ta nienasycona głowa, już martwa, ale wciąż jeszcze pożerająca żywych...

Z trudem odwróciłem wzrok — i znów dałem sobie słowo, że więcej w tamtą stronę nie spojrzę. Znałem tę dziewczynę, jeszcze kiedy miała głowę. I z nią podobała mi się znacznie bardziej.

Polana wokół przepaści dawno nie widziała takiego tłumu — a może w ogóle nigdy. Zazwyczaj można tu było spotkać tylko śpieszącego w dół wampira. I spotkać go mógł tylko inny wampir: z trzech stron przepaść otaczały ogrodzenia rublowskich posesji, należących do członków naszej społeczności, tak że przypadkowy gość nie mógł się tutaj znaleźć.

Dziś jednak wszystko było inaczej. Gdybym nie wiedział, gdzie jestem, chyba bym tego miejsca nie poznał: można było pomyśleć, że wampiry przegrały wojnę z

ludźmi — i skapitulowały.

Przepaść, prowadząca do domu Wielkiej Myszy, była całkowicie odsłonięta — pierwszy raz za mojej pamięci. Szarzielony rulon, w który zwinięto sieć maskującą, stwarzał nastrój niepokoju, poprzedzającego wojnę — jakbym miał przed sobą sztolnię, otwartą przed startem ostatniej rakiety. Co więcej, część ogrodzenia została rozebrana, żeby odsłonić drogę do podziemi. Najdziwniejszą jednak rzeczą w całym tym obrazie była nawet nie wisząca nad otchłanią głowa, ale niebieski autokar, który przejechał przez dziurę w ogrodzeniu i zatrzymał się zaledwie o kilka metrów od przepaści.

Siedzieli w nim mężczyźni i kobiety w perukach, kamizelach, wieczorowych sukniach, czarnych frakach i scenicznych trykotach, ze spływającą w upale charakteryzacją, ze starannie zawiązanymi oczami. Wyprowadzano ich po jednym, żeby wykonali swój numer na skraju przepaści. Potem pomagano im wrócić do autokaru.

Przypuszczam, że była to najbardziej lukratywna impreza w ich życiu, chociaż wątpię, czy wiedzieli, dla kogo śpiewają, recytują i tańczą. Zapewne uważali, że jest to jakieś wspólne posiedzenie mafii, FSB i Komitetu Międzybankowego, którego uczestnicy nie chcą, żeby ich widziano razem.

Zresztą, nazywając rzeczy po imieniu, tak też było. Właśnie dlatego, myślałem melancholijnie, rzeczy nie mają swoich imion — tylko te, które nadają im chytry i wyrachowani Chaldeje.

— Gdzie rozbite marzenia

Opadają znowu siłą ciężenia...

Facet w szortach dośpiewał wreszcie swój numer. Rozległy się zdawkowe oklaski, i ja też dwa razy klasnąłem w ręce. Śpiewak uklonił się w przestrzeń i ochroniarze poprowadzili go z powrotem do autokaru, pilnując, żeby się nie potknął.

— Koniec męki — mruknął Enlil Maratowicz, kiedy ochroniarze podsadzili śpiewaka do pojazdu. — Chyba się jakoś udało.

Gdy tylko to powiedział, zrozumiałem, że oto zaraz wydarzy się coś strasznego. Tak bywa, kiedy oglądając horror, odczuwasz ulgę, że zakończyła się jakaś mroząca krew w żyłach sytuacja — i nagle czujesz, że dano ci odetchnąć nie bez powodu.

Naturalnie nie myliłem się.

Wokół mnie rozległ się chóralny jęk grozy. Nawiasem mówiąc, było to rzeczywiście straszne, ponieważ ten zbiorowy jęk wydali nie jacyś tam człowieczkowie,

ale stare, wytrawne wampiry, które trudno przestraszyć. Toteż z góry bardzo mocno się napiąłem, a zobaczywszy, co konkretnie wywołało taki lęk w naszych szeregach, odczułem raczej ulgę niż nową falę strachu.

Głowa Isztar otworzyła oczy.

Nie było w tym nic szczególnie przerażającego. Po prostu w środku dwóch czarnych spływających kleksów pojawiły się dwa mętnie połyskujące punkciki. Każdy spośród stojących nad przepaścią wampirów wiele razy widział te mętne punkciki już wcześniej. Nie było się czego bać — zwłaszcza że usta Isztar pozostały zamknięte: nikt nie zamierzał podłączać jej do pompy powietrznej.

Problem wszakże polegał na tym, że Isztar nie patrzyła na nas. Patrzyła na kierowcę autokaru, do którego przed chwilą załadowano ostatniego klauna.

Nie widziałem twarzy kierowcy. Widziałem tors w czarnej mundurowej koszuli i zbieleiałe dłonie na kierownicy. Kierowca szarpał się wściekle w fotelu, jakby utracił kontrolę nad własnym ciałem — i nad pojazdem. Zdawało się, że autokarem kieruje czyjaś zła wola. Pojazd powoli jechał ku przepaści.

Siedzący w środku aktorzy z przepaskami na oczach niczego nie podejrzewali do momentu, kiedy kierowca zaczął krzyczeć. I wówczas jednak nie okazali szczególnego niepokoju — widocznie przed imprezą kazano im zachować spokój bez względu na rozwój wydarzeń. Dopiero kiedy autokar przechylił się na skraju urwiska, kilka osób zerwało opaski z oczu — i też zaczęło krzyczeć. Ale było już za późno na cokolwiek.

Tylne koła wleciały nad urwiskiem i autokar runął w przepaść.

Wszyscy zamarli.

Najpierw było słyhać cichnący wielogłosy krzyk. Potem zapadła cisza. Wreszcie po nieznośnie długiej chwili dał się słyszeć głuchy plusk. Był tak cichy, że pewnie w ogóle byśmy go nie zauważyli, gdybyśmy się tak pilnie nie wsłuchiwali.

Pierwszy opamiętał się Enlil Maratowicz. Podeszedł na skraj przepaści i zajrzał w dół. Potem uważnie popatrzył w niebo.

— Chcę wiedzieć, co się stało — powiedział. — Gdzie Ozyrys?

— Ozyrys jest chory — odrzekł wampir imieniem Loki. — Wątroba.

— A kto go teraz zastępuje? Kto tu jest nurkiem?

Loki wzruszył ramionami.

— Innego nie ma — powiedział. — Oprócz ciebie. Przecież wiesz, Enlil.

Enlil Maratowicz rozejrzał się po obecnych. Twarz miał spokojną, tylko jedno oko stało się węższe od drugiego.

— A więc mówicie poważnie, że nie mamy etatowego nurka? I jeśli chcę się dowiedzieć, co się stało, muszę tam skoczyć sam?

Odpowiedziało mu milczenie.

Enlil Maratowicz jeszcze raz powiódł po nas wzrokiem.

— No dobrze — powiedział spokojnie i nawet niefrasobliwie. — Tak zrobię. Sam to zbadam. A potem pomówię o tej sytuacji z Herą. To jest z Isztar Władimirowną. Zwłaszcza że to tuż obok...

Ruszył w stronę przepaści.

— Enlil! — zawołał za nim Marduk Siemionowicz. — Dlaczego miałbyś sam się brudzić. Lepiej... Chcesz, to ja skoczę? Kiedyś umiałem...

Enlil Maratowicz nie zaszczycił go odpowiedzią. Podeszedł na sam skraj urwiska i odwrócił się do mnie.

— Rama — rzekł — ty ze mną. Isztar Władimirowna chce cię widzieć.

Poczułem na sobie kilka zawistnych i pełnych nienawiści spojrzeń. Zresztą, ostatnio już do nich przywykłem.

— Zróbcie tu porządek — polecił Enlil Maratowicz. — Za godzinę wszystko ma być tak jak zwykle. Marduk, załatw z Chaldejami, żeby tych artystów szukano w jakimś innym miejscu... Niech utoną gdzieś w Turcji.

Rozpostarł ręce, jakby sprawdzając, czy marynarka nie ciśnie, i niezdarnie stoczył się w przepaść. Policzyłem do pięciu, podbiegłem do urwiska i rzuciłem się za nim.

Upadek w Hartland to jedna z tych rzeczy, do których nie może całkowicie przywyknąć żaden wampir. Przez kilka pierwszych sekund w dół leci ludzkie ciało — i trzeba, by w duszy zrodził się i rozrósł nieprzewyciężony strach, jako że właśnie on umożliwia transformację. Najpierw do tego eksperymentu konieczny jest specjalny preparat z czerwonej cieczy Wielkiej Myszy. Potem uczymy się obchodzić bez niego. Im bardziej doświadczony jest wampir, tym mniej się boi — i, czysto teoretycznie, może się zdarzyć, że nie czując dostatecznego strachu, nie zdoła się zamienić w nietoperza i runie na dno. Jednakże im bardziej realna staje się taka możliwość, tym większy wywołuje strach, toteż, tak czy inaczej, w Odwieczne Ciało przechodzimy wszyscy. Po prostu jedni wcześniej, a inni później.

Wrażenie jest takie, jakby palce wreszcie zdołały uczeplić się powietrza, przez które lecą. To znaczy, że ręce już przekształciły się w błoniaste skrzydła — i upadek w czarną dziurę zamienia się w szybowanie nad przepaścią.

Wspominałem już o wątpliwościach, jakie ta procedura budzi w trzeźwym ludzkim umyśle (a ma go każdy wampir). Czym jest ta transformacja? Czy odbywa się ona rzeczywiście, czy zapadamy w rodzaj snu, wypaczającego realność? A może się z takiego snu budzimy?

Mądrość wampira polega na tym, że on nie szuka odpowiedzi na takie pytania. Dopóty, dopóki nie zmusi go do tego życie. Wiedziałem, że taka będzie odpowiedź wszystkich starszych współbraci. Ale powiedzenie czegoś takiego samemu sobie jest oczywiście niemożliwe — i pytania wciąż się kryją w jasnych zakamarkach duszy.

Najciekawsza (i, co tu ukrywać, najbardziej mroczna) wersja odpowiedzi, jaką poznałem, została zawarta w opowiadaniu fantastycznym pewnego dziewiętnastowiecznego wampoliterata. Rzecz jasna, nigdy go nie drukowano — w każdym razie dla ludzi.

Była to historia o młodym zbuntowanym wampirze (wówczas takie rzeczy pisywano bez odrobiny ironii), który uzyskuje możliwość dokonania całego zjazdu do Hartlandu w ludzkim ciele — i zamiast ukrytego w otchłani korytarza, wiodącego do pieczary Wielkiej Myszy, trafia na dno płytkiej starej sztolni, gdzie na zakopconych belkach wiszą nietoperze. W osobnej niszy, zabazgranej wulgaryzmami, wisi bardzo stary tłusty nietoperz, pokryty ni to pajęczyną, ni to pleśnią... I to wszystko.

Opowiadanie to powstało jednocześnie z *Sonatą Kreutzerowską* i było wyrazem jadowitej krytyki tradycyjnych instytucji społecznych. Uważano, że instytucje te należy co prędzej zlikwidować, aby utorować drogę dla postępu. Ludzie w tamtych latach zamierzali trafić tym sposobem w świetlaną przyszłość — i napisali wiele podobnych rzeczy.

Historia ta w swoim czasie skłoniła mnie do poważnego zastanowienia się nad tym, dokąd za każdym razem się opuszczam... W Hartlandzie była elektryczność. Działały tam skonstruowane przez ludzi maszyny. Ale wszystko to działo się wyłącznie z woli wampirów. Zupełnie sobie nie mogłem wyobrazić, co się stanie z autokarem, który przypadkowo — i samodzielnie — runął do Hartlandu.

Kiedy jednak wylądowałem nad powierzchnią wody, stało się jasne, że

odpowiedzi nie otrzymam. Uderzywszy pięściami o kamienny brzeg podziemnego zbiornika, znów stałem się człowiekiem — i ujrzałem Enlila Maratowicza. Siedział w kucki na skraju czarnego jeziora. W niepewnym świetle, padającym nań z pieczary, przypominał starego rybaka.

Żadnego autokaru nigdzie nie było widać, tylko nad wodą wisiała jakaś dziwna zielonkawa mgiełka.

— Idź — powiedział. — Ona czeka.

— A jak pan będzie...

Skrzywił się boleśnie.

— Po cóż ci to wiedzieć, chłopcze? Pozostań młody, dopóki możesz. Mówię poważnie. Idź.

Kiwnąłem głową i wszedłem do pieczary.